

MICHELLE

Renata Opala

MICHELLE

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

1.

Otoczony topolami duży budynek w kształcie prostopadłościanu stał w żarze wczesnopołudniowego słońca. Cisza i upał. Upał i cisza. Wszystkie okna pozamykane, niektóre zasłonięte od wewnątrz delikatnymi żaluzjami. I nagle ostry, przeciągły dźwięk dzwonka – omdlewająca zieleń jakby ożyła, a po chwili otworzyły się drzwi i szerokim, głośnym strumieniem kolorowa lawa wypłynęła na placyk przed budynkiem: chłopcy i dziewczyny, bruneci, szatyni, blondyni i nawet kilku rudzielców. Ta lawa rozpływała się na boki, dzieliła na coraz mniejsze i węższe strumyczki, a opuszczony budynek po chwili znowu pogrążył się w ciszy. Dwie dziewczyny przez chwilę w milczeniu szły obok siebie, ale zatrzymały się, jakby nie mogąc zdecydować, która odezwie się pierwsza. Blondynka, z prostymi, sięgającymi brody włosami, kopnęła leżący przy krawężniku kamień, wzbijając niewielki obłoczek kurzu.

– Powiedz, Miśka – pokręciła głową, aż jasne włosy zafalowały – czy ta glana z matmy tuż przed końcem roku była ci potrzebna? I nie strzelaj mi focha, bo nie ma o co.

– Ja to piórkam! I tę, i wszystkie inne glany. Mam gdzieś, rozumiesz? – brunetka z włosami związanymi

w koński ogon spojrzała ostro na koleżankę i ruszyła przed siebie.

– Kombinowałaś, jak koń na światłach, ale nie wyszło.

– Odwal się ze swoimi kazaniami. Wystarczająco nasłucham się w domu, kiedy okaże się, że mam poprawkę.

– No... Wyda się już za cztery dni.

– Niewielkie zmartwienie. I tak mam z ciotką na pieńku.

– Z tego wnioskuję, że tatuńcio się nie odezwał.

– A tam... nie chce, niech się nie odzywa. Bez łaski. Jednak jakąś forszę mógłby podesłać.

– Nie przysyła? Nic a nic?

– Ostatni list i pięćdziesiąt funtów przysłał w styczniu. Przez jakąś przedpotopową damulkę w norkach, która wracała do domu autobusem z Londynu. Ciotka poszła to odebrać. „Co tam słychać? Jak się uczysz? Ucz się pilnie. Słuchaj cioci...” – srutu-tutu, gacie z drutu, ale żadnego adresu, żadnego numeru telefonu. I od tej pory cisza.

– Może poznał jakąś babę? Bab w Londynie do wyboru, do koloru. Trafił uroczą Hinduskę, czy Eskimoskę i poleciała strzała Amora. A może go szlag trafił, albo go porwali dla okupu, a ty wcale o tym nie wiesz?

– Kika, hamuj! Nie życz źle mojemu staremu. Może się jeszcze nawróci na właściwą ścieżkę.

– Nie życzę. Tylko głośno myślę.

– Więc nie myśl o nim. Myśl, gdzie pojedziesz na wakacje.

– O, ja, jak zwykle do babci na wieś.

– Może w sierpniu skoczymy na Przystanek Woodstock?

– Żeby mi matka spuściła manto?

– A czy musi wiedzieć? Ja powiem, że jedziemy razem do twojej ciotki, a ty, – że do mojej. Nic się nie wyda, a jeszcze dadzą nam po parę groszy na drobne wydatki.

– Chyba nie będzie mi się chciało. I ryzyko za duże. Tam trzeba jechać całą paką. Inaczej mogą cię stratować. Widziałam w telewizorni, jak niektórzy się tam zachowują. Bezrozumne, dzikie zwierzęta. Nie. To nie dla mnie.

– Wiesz, Kika, czasami też jesteś przedpotopowa.

– Trudno. Może jestem przedpotopowa, ale nie noszę norek. Na starość się zmienię. O, rany! Już trzecia. Matka znowu się wpiekli, że kuchnia nie jest sprzątnięta i ziemniaki nieobrane. A Patryk tego nie robi. Muszę lecieć!

Kryśka obróciła się na pięcie. Trzymając plecak za przyszyty uchwyt, rozejrzała się na boki i pobiegła w stronę kremowo-pistacjowej willi od południa obrośniętej winoroślą.

Miśka też się rozejrzała, przeszła na drugą stronę ulicy i poczłapała w kierunku domu chyba najstarszego na osiedlu.

Co to za dom. Osiedle nowe, a ten jeden, jedyny – stary. Kiedyś były tu pola i ogrody, ale podzielono je na działki. Szarobury klocek typu „późny Gomułka, wczesny Gierek” stoi tu od nie wiadomo kiedy. Parter i piętro. Skrzypiąca furtka, starodawne renklody rzucające cień na wiodącą do drzwi ścieżkę, a pod ścianami malwy i fioleto-we irysy. Śmiech na sali. Miśka sugerowała ciotce, że warto byłoby coś zmienić. Posadzić rododendrony, magnolie... jakiś skalniak ... „To były ulubione kwiaty twojej babci, a renklody też są posadzone jej ręką”. I nie ma na ciotkę sposobu. Ale faktycznie, kiedy ma pracować w ogrodzie, kiedy nieraz po dziesięć godzin jest w pracy. Rano w poradni psychologicznej, po południu w prywatnym gabinecie. A forsa topnieje w takim tempie! Ciągłe jest jej za mało. Miśka nie może narzekać: kiedy potrzebuje, zawsze dostanie, tylko że przy tym zawsze jest jakiś komentarz i narzekanie na ciężkie czasy.

-o-

Furtka zaskrzypiała jak zawsze. Klucz z trudem obrócił się w zamku. Drzwi zatrzasnęła nogą i stawiając stopy co drugi schodek, wdrapała się na piętro. Dwie sypialnie, łazienka i osobna ubikacja oraz gabinet, a raczej gabinetek ciotki, a w nim biurko, szafa pełna książek, dokumentów i laptop. Miśka weszła do swojego pokoju, który, siłą rzeczy, spełniał wiele funkcji. Od sypialni po szkołę. Wsunęła

plecak pod biurko, z impetem zrzuciła adidasy, aż poleciały pod ścianę i padła na wersalkę przywierając twarzą do poduszki w kształcie ogromnej biedronki. Teraz mogła się wypłakać, a świadkiem jej słabości mogła być tylko siedząca na fotelu, czarno-biała panda.

2.

Cmentarz przy ulicy Lutyckiej jest mały. Mały i cichy. Uliczny hałas skutecznie tłumią krzewy i drzewa. Najbardziej hałasują goniące się wśród liści ptaki, ale te nie przeszkadzają myśleć. Myśleć i rozmawiać z tymi, którzy odeszli. I nie jest tak gorąco, jak na odkrytej przestrzeni.

Miśka przyjechała tu zaraz po lekcjach rozgrzanym jak piec autobusem. Najpierw odwiedziła grób babci i dziadka. Wyrzuciła zwiędłe kwiaty i zapaliła mały znicz. Potem postawiła znicz na grobie wujka Andrzeja, męża ciotki. A potem... Potem poszła na grób mamy. – Boże! Jakie to niesprawiedliwe. – Głęboko zamyślona usiadła na zrobionej przez tatę ławeczce. – „Jakie to niesprawiedliwe! Taka młoda. Taka uśmiechnięta – popatrzyła na zdjęcie. – Taka kochana. I to już dwa lata. Rak płuca. Skąd się wziął? Przecież mama nigdy nie paliła papierosów! Tata przez pół roku nie mógł się pozbierać, całymi dniami siedział na cmentarzu, a potem jednego dnia podjął decyzję i wyjechał do Londynu. – I kto mnie teraz, mamu, przytuli? Kto